



## ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

29

On, nie spuszczać oczu ze zmieszanego Szarockiego, stojącego przy stole ze spuszczonego oczyma, nachylił się trochę do niej i rzekł drewnianym głosem:

— Jak się masz, Luciu, cóż, podobno masz migrenę... Wszyscy na wycieczce, tylko ty w domu i...

— Miałam dobre przecucie, że przyjedziesz, — przerwała mu rozradowana, — dopiero przed chwilą mówiłam o tym panu Szarockiemu... Ach, panowie się nie znacie... mój mąż... pan Szarocki.

Nie bez obawy podszedł Szarocki, skłonił się, wyciągnawszy rękę i rzekł:

— Bardzo mi przyjemnie.

Pan Łotuski z pewnym wahaniem podał swoją i ledwie dotknął wyciągniętej ręki, mówiąc:

— Czy pan tutejszy doktor?

— Nie.

— Hm... myślałem, że pan leczy moją żonę na migrenę.

— Istotnie, Jasiu, — zaczęła szybko pani Łotuska, — pan Szarocki był tak uprzejmy, że przyniósł mi lekarstwo na migrenę, — szybko zbliżyła się do stolika i podniosła w górę pudełko apteczne.

— Pokażno, — zbliżył się mąż do stołu, wziął w rękę pudełko, obejrzał napis, — tak, to pyramidon, ale nie zażywałaś.

— Dopiero przed chwileczką pan mi przyniósł, a gdy ciebie ujrzałam przeszła mi migrena, bo ja mam gatunek bólu nerwowego i przy silniejszym wzruszeniu ból przechodzi.

— Trochę zagadkowy ten ból, — zrobił drwiący grymas, — no, ten pokój obszerniejszy, zmieści się moje łóżko.

Szarocki czuł, że wypada mu odejść, szukał oczyma kapelusza, nigdzie go nie było.

— Nie chcę przeszkadzać państwu, wychodzę... tylko mój kapelusz?

Ona rzuciła okiem po pokoju, nie było kapelusza, a chcąc się Szarockiego pozbyć, powiedziała:

— Zdaje mi się, że pan przyszedł bez kapelusza... i do widzenia przy kolacji.

— Ależ ja wprost... z apteki, — szukał oczyma po pokoju.

— Zdaje się panu. Kapelusz pewno jest w pańskim pokoju.

Szarocki ceremonialnie pożegnał się z małżeństwem, usłyszawszy na odchodem:

— Dziękuję za proszki.

— Nareszcie jesteśmy sami. Siadaj, Jasiu, pewno zmęczyłeś się podróżą, — posadziła go na kozetkę i tuląc się do niego, głaszcząc pomarszczoną twarz, mówiła z rozczerwieniem: — jak to dobrze, że przyjechałeś, kotku, tak mi było tęskno za tobą.

On, jak prawdziwy kot, pozwalał się pieścić, głaskać i spytał obojętnie, patrząc z ukosa bacznie i podejrzliwie na jej twarz:

— Co to za jeden?

— On? Jeden z kuracjuszy zakładu, ma podobno suchoty, — zawałała się chwilę, a przypominawszy sobie plotkę o epilepsji pana Jedlińskiego, dodała: — i wielką chorobę. Zawsze drzę, ażeby przy mnie nie dostał, a na nieszczęście jest moim sąsiadem.

— Wielką chorobę, powiadasz?

— Tak mówią... ach, jak ja się jego boję.

— Hm... Nie podoba mi się jego nazwisko, co to jest, Szarocki?

— Nazwisko, jak każde inne, mój Jasiu.

— No, tak... ale nie podoba mi się.

Właściwie nie nazwisko nie podobało się panu Łotuskiemu, ale to, że zastał go sam na sam z żoną i że był to młody, dosyć przystojny człowiek z gęstą i długą czupryną. Postanowił zbadać tę rzecz gruntownie.

— Czy sądzisz, Jasiu, — zaśmiała się, — że on mi się podoba? Ty wiesz przecież, że wogóle młodych nie lubię, a zawsze miałam słabość do ludzi poważniejszych, rozumnych i miłych. Najlepszy dowód, że ciebie wybrałam, Jasiu, — ucałowała jego usta.

— W to wierzę, bo te młokosy mają zielono w głowie, pędziwiatry, co to dziś do tej, jutro do drugiej, i mojem zdaniem żadna, szanująca się kobieta nie wdaje się z takimi żółtodziobami, jak ten oto... a jak mu na imię?

— Nie wiem, Jasiu, co mnie to może obchodzić.

— Jakże, Luciu, twoje zdrowie?

— Trochę lepiej, ale doktor twierdzi, że powinienam tu zostać do jesieni.

— Rozmówię się z nim.

— Ale ty, Jasiu, wyglądasz doskonale, odmłodziłeś. Czy tylko nie bałamucisz się? Nie zdradziłeś mnie?

— Co znowu? — ucieszył się tem podejrzeniem, — wprawdzie te włoski robiły do mnie słodkie oczy, ale ja im na to: „mia cara“, mam ładniejszą żonę od ciebie. No, a ten Szarocki pewno udaje, że w tobie zakochany... siedzi u ciebie... lekarstwa przynosi... i nawet nie wie, czy przyszedł w kapeluszu?

Właśnie ona, siedząc na niskiej kozetce, dostrzegła kapelusz Szarockiego pod łóżkiem i przypomniała sobie, że go tam rzuciła. Błyskawicznie spojrzała na kierunek oczu męża i chwilowo się uspokoiła.

— On!? Zakochany!? — zaśmiała się, — a może? Zdaje się, że on we wszystkich paniach się kocha, bo do każdej pisuje wierszyki.

— Powiadasz wierszyki? Więc bawi się w poetę, a każdy z tych półgłówków musi mieć kochankę; no, a z fachu, czy też zajęcia, czym jest?

— Nie wiem... ale ty, Jasiu, nie widziałeś, jaki prześliczny widok mam z okna, chodź, zobacz.

— Będzie czas, — i wyciągnawszy nogi na pokój, oparł głowę o krawędź kozetki.

Teraz napewno zobaczy kapelusz, pomyślała żona i chcąc go poruszyć z kozetki, powiedziała:

— A może umyjesz ręce? Mam wyborne mydło fiołkowe.

— Ręce, — spojrzał na nie, — są czyste, daj mi zapalki, — wyjął papierosnicę.

— W tej chwili, — wstała, przyniosła i usiadła naprzeciw, zasłaniając sobą nieszczęśliwy kapelusz.

— A on pali?

— Kto? — spytała zirytowana.

— Ten wierszokleta.

— Nie wiem.

— Czy i do ciebie pisał?

— Deklamował mi swoje wiersze.

— Dlaczego nie siadasz obok mnie? Czy już ci się znudziłem?

— Ach, Jasiu, poco te żarty, wiesz przecież, że moim jedynym pragnieniem być z tobą, — usiadła obok męża.

— To też nie zaraz się rozłączymy, — objął ją ręką w pasie, — mój doktor zalecił mi odpoczynek w Zakopanem.

— To doskonale się składa, będziemy razem i z tobą pójdę na wszystkie wycieczki.

— O, co to, to nie. Wiesz, mam nagniotki i one mi przeszkadzają... a z nim często chodziłaś?

— Ledwie przyjechałam, a już mi dokuczasz, wiesz, jak ciebie kocham, a ty nawet mnie nie pocałowałaś.

— Owszem, zaraz, — i nachyliwszy się do jej twarzy, pocałował, ale i upuścił papieros.

Zanim zdążyła podnieść, on się nachylił i patrząc w jej oczy, rzekł niezadowolony:

— Ale ty zawsze nieporządna... i teraz coś rzuciłaś pod łóżko. Czy to miejsce na schowanie?

— Gdzie? Nie wiem.

— Zaraz ci pokażę, — wstał.

— Nie trudź się, ja sama, — przytrzymała go.

— Ty masz migrenę, ja sam podniosę.

Laską wysunął przedmiot na pokój i zgorzsony zawołał:

— A to co? Kapelusz!? Męski kapelusz pod twoim łóżkiem!?

— Nie rozumiem, skąd się wziął, — patrzyła z obrzydzeniem na kapelusz. — A, to pewnie pana Szarockiego.

— Aha, — zaśmiał się złośliwie, — nareszcie poznałaś. I on miał rację, szukając swego kapelusza, a nie ty.

— A cóż mnie jego kapelusz obchodzi? Czy przyszedł z kapeluszem, czy bez niego, a twoje podejrzenia obrażają mnie.

— Jeszcze o nic cię nie podejrzewam, poco uprzedzasz wypadki? — stał nad kapeluszem z laską i mówił zwolna: — zatem jego kapelusz pod łóżkiem... i jakim sposobem właśnie pod łóżkiem twoim, a nie na wieszadle, na krześle, na stole...

— Pewno rzucił i spadł.

— Jakto rzucił? Czy to dom jego, czy karczma? I rzuca na twoje łóżko, jakby na własne?

Ona nienawistnie spojrzała na niego i milczała zachmurzona. On laską podniósł kapelusz, zawiesił na wieszadłach i mówił:

— Zatem był tu jakiś dramat, kłótnia zakochanych i on w komedyanckim geście rzucił kapelusz od siebie, ażeby mieć wolne ręce dla ciebie. Co? Czy nie tak? — siadł naprzeciw niej z miną sędziego śledczego.

— Milczysz? — ciągnął dalej, — zatem przyznajesz się. W sam czas przyjechałam... Czy on ci się już oświadczył?

Milczała, on zapalił papierosa i patrząc drwiąco mówił:

— Czy bardzo kochasz tego smyka i wierszoroeba? Co? Mów!... Milczysz? a więc się przyznajesz.

Ona wstała, wzięła książkę do ręki, usiadła na dawnym miejscu i rzekła spokojnie, z miłym uśmiechem:

— Widzę, że cie bardzo bawią twe genialne domysły, baw się, Jasiu, monologuj, a ja będę